

Przesunięcie na lewo...

30 lipca 2010

...podobno nastąpiło w polskiej polityce. Bo przecież zabiegi o Grzegorza Napieralskiego i jego wyborców trwają nieprzerwanie od 20 czerwca.

Tygodnik „Wprost”, który niegdyś porównywał SLD do „ośmiornicy zdrady narodowej”, teraz określa jego lidera jako „Pierwszą Damę III RP”, o którą walczy Kaczyński z Komorowskim, czy może raczej – z Tuskiem. Mimo wszystko, żadnego poważnego przesunięcia w lewą stronę nie było. Najlepiej świadczy o tym niedawna kampania wyborcza Napieralskiego. Wątków lewicowych nawet superuważny odbiorca nie doszukałby się tam choćby na lekarstwo. Trudno o nie u kandydata, który z założenia potępiał konflikty, wołając o spokój i zgodę. Właściwie dałoby się go wziąć za odmłodzonego klona Bronisława Komorowskiego. A może to jedno z jego pięciorga dzieci, o których kandydat Platformy często wspominał w telewizji?

Centrowa i pokojowa stylizacja bardzo Napieralskiemu pomogła. Z łatwością przejął on wyborców bliskich PO, których jednakże odstraszyły wpadki, gafy i niezbyt wyrafinowane próby pozyskiwania widowni, jakimi popisywał się Komorowski. Ściślej biorąc, Napieralski odzyskał elektorat SLD i jego sojuszników (zjednoczonych w niezbyt mile wspominanym LiD-zie) z wyborów parlamentarnych roku 2007. Odnieść ten sukces wydatnie dopomógł mu oligopol medialny. Jego internetowe i papierowe organy z początku spisywały Napieralskiego na straty, wskazując, że pojawił się on w prezydenckim wyścigu tylko dlatego, że ktoś musiał zastąpić tragicznie zmarłego Jerzego Szmajdzińskiego, a poważniejszych chętnych po temu na lewicy zabrakło. Kiedy szef SLD, zrozpaczony swymi minimalnymi notowaniami w sondażach, uciekł się do mocno niekonwencjonalnej metody agitowania pod zakładami pracy, media nadal utrzymywały ton sarkastyczny. Z ich obserwacji wynikało, że tylko niewielu z robotników, idących do pracy na

pierwszą zmianę, rozpoznawało, kto taki stara się o ich względy.

Aż tu nagle lekceważony Napieralski wzleciał na medialny firmament. W miarę jak zbliżała się pierwsza tura wyborów, komentatorzy coraz wylewniej chwalili jego młodość, świeżość i (rzekome) wyłamywanie się ze schematów. Tabloidy wytypowały tego, prawdę mówiąc dość bezbarwnego dyskutanta, na zdecydowanego zwycięzcę debaty między czterema kandydatami partii parlamentarnych na posadę głowy państwa. Chciałoby się westchnąć: dzięki Bogu... Gdyby bowiem Napieralski nie odzyskał łask dysponentów mediów – co, z kolei, pozwoliło mu urosnąć z kandydata kilku- na kilkunastoprocentowego – Komorowski mógłby wygrać już 20 czerwca. Widać stąd, jak mocna – pomimo 10 kwietnia i jego oddźwięku w opinii publicznej – pozostaje dominacja Platformy. Czyżby przeszkadzała ona pewnym ośrodkom w establichmencie, które zdecydowały się wzmocnić lewą nogę, inwestując w reklamę Napieralskiego?

SLD wrócił z dalekiej podróży. Razem ze zwykłymi wyborcami odpływały od niego elementy poważniejszego zaplecza. Jerzy Urban nie ukrywał, że gdyby nie zobowiązania towarzyskie, przerzuciłby swoje sympatie na Platformę. Szef Wojskowych Służb Informacyjnych, rozgromionych pod rządami PiS, generał Dukaczewski, zapowiedział otwarcie szampana po zwycięstwie Komorowskiego. Włodzimierz Cimoszewicz, kandydat, dzięki któremu rodząca się lewica postpezetpeerowska uratowała twarz w pierwszych wyborach prezydenckich, ogłosił désintéressement dla losów przywódcy SLD. Po co – sugerował – marnować głos na lewym marginesie, skoro w centrum Komorowski pewnie zmierza po pierwsze miejsce na mecie.

Kto wie, czy Cimoszewicz nie wyciągnął tu wniosków z przykrego doświadczenia osobistego. Niecałe pięć lat temu, brylował on w sondażach prezydenckich, wyprzedzając późniejszych głównych kandydatów: zarówno Donalda Tuska, jak i Lecha Kaczyńskiego. I wtedy Tusk, udzielając wywiadu „Przekrojowi”, zadał w trąby retoryki postsolidarnościowej. Dość długo – ogłosił – już

znosiliśmy prezydenta Kwaśniewskiego, nie wolno więc do opuszczanego przez niego pałacu dopuścić następnego postkomunisty. Dziwnym zbiegiem okoliczności, prawie natychmiast wypłynęły rewelacje ekssekretarki Cimoszewicza, Anny Jaruckiej, o jego spekulacjach giełdowych. Znając obyczaje kuluarów naszej polityki, można przypuścić, że chodziło tu o sygnał dla wtajemniczonych: minął czas obecności polityków zwanych postkomunistami na głównym froncie. Cimoszewicz okazał się pojętny. Najpierw wycofał się z gry o prezydenturę, potem oddalił się jeszcze bardziej niż w okresie swej świetności od kierownictwa partii ze stołecznej ulicy Rozbrat, a wreszcie zaczął się starać o miejsce w rządzie Platformy.

W rzeczy samej: do czego jeszcze miałyby się przydać SLD? Większość jego funkcji z powodzeniem wypełnia Platforma. Teraz to ona wzywa do zostawienia przeszłości historykom i nie dopuszcza „oszołomów” do władzy. Z jej gościnności chętnie skorzystali biznesmeni o rodowodzie ze starego systemu, którym zależało na uniknięciu rozrachunków ze swymi biografiami oraz historiami majątków ich firm.

Nie wszystkich jednak nawet przysłówiowo otwarta Platforma mogła zaprosić. Na Rozbrat i w okolicach pozostali ludzie w rodzaju Włodzimierza Czarzastego. W epoce „walki z korupcją” i „rewolucji moralnej” zostali oni zbyt mocno zdyskredytowani przez media. Czarzastego, na przykład, negatywnie rozślawiły – podejmowane wspólnie z byłym prezesem TVP, Robertem Kwiatkowskim – zakusy na dziką prywatyzację telewizyjnego programu II i ustawiony przetarg Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych. Jego doświadczenie i pieniądze nie zrównoważyłyby obciążenia propagandowego, które stanowiłby dla Platformy. Z konieczności więc, zamiast krążyć wokół świty Tuska i wspierać Komorowskiego, służył on radami młodszemu koledze, który formalnie stanął na czele SLD.

Teraz Czarzasty triumfuje. Jest przekonany, że warto było znieść wielki post na eksperckich tyłach drugorzędnej partii,

bo wreszcie wybiła jego godzina. Rozmawiając z dziennikiem „Polska The Times”, precyzyjnie odpowiada na stare pytanie: co robić. Mianowicie, dla utrzymania elektoratu należy wybrać kilka głośnych, a przy tym mało kontrowersyjnych haseł (zapłodnienie in vitro, konkordat itd.). Co ważniejsze, trzeba pilnie odbierać sygnały zapraszające do ewentualnej koalicji. Ze względów – jak to określa – „estetycznych”, najbardziej by mu odpowiadało, gdyby nadeszły one ze strony PO, ale jeśli wystąpi z nimi obóz Kaczyńskiego, też nie należy zbytnio wybrzydzać.

Rozżłoszczony Cimoszewicz, którego ambicje przywódcze na lewicy się wyczerpały, w wywiadzie dla portalu Onet.pl oskarżył otoczenie Napieralskiego, złożone z Czarzastych, o cynizm. Przylepiając tę etykietkę, o tyle jest wiarygodny, że wie, o czym mówi. Z autopsji.

Jacy przywódcy, taka formacja partyjna. Bezpośrednio po prezydenckiej pierwszej turze, pojawiły się sondaże, iż za dwa tygodnie wybrańcem aż dwóch trzecich zwolenników Napieralskiego zostanie Komorowski. Tylu też, zdaje się, ich rzeczywiście było. Nie pomogły więc spóźnione sygnały Jarosława Kaczyńskiego, który nareszcie próbował oddzielić uzasadnioną walkę z „poststaroreżimowym” odłamek establishmentu od zbędnego ryczałtowego potępiania ludzi związanych życiorysowo z PRL.

Typowy wyborca SLD-owski już dawno bowiem został spacyfikowany. O jego obliczu więcej niż rozważania o „alternatywie dla hegemonii prawicy” i „trzeciej sile”, które przewijają się w mediach uchodzących za poważne, mówią drukowane w tygodniku „Nie” felietony Jerzego Urbana. Kpiąc z roszczeń socjalnych, które wypomina głównie PiS, Urban zapewnia, że nie stanie się cud rozmnożenia budżetu przez modlitwy Rydzyka. Większość elektoratu SLD pogodziła się ze śmiercią Polski Ludowej, transformacją i postsolidarnościową Rzeczpospolitą. Pragnie jedynie spokoju w stosunkach z Rosją, bezkonfliktowej obecności Polski w Europie, obcięcia funduszy

na IPN i – przede wszystkim – zatrzymania znienawidzonego „Kaczora”. Spełnienie tych wszystkich oczekiwań zapewnia jej Platforma.

Przy okazji można zauważyć, że zupełnie nic nie przyniosły wyobcowane próby „rozszerzania dyskursu publicznego o idee lewicy”. Komorowski nie podjął ani cienia ustępstw na rzecz entuzjastów małżeństw jednopłciowych i wolnego wyboru w sprawie aborcji. A sondaże na temat praw gejów, które niedawno pojawiły się w politycznym Internecie, mogły zjeżyć włosy na głowie nawet sceptykom uważającym, że w „dyskursie publicznym” przesadnie się ten temat wyolbrzymia. Tyle wydarzeń, publikacji, konferencji, a zdecydowana większość ankietowanych deklaruje, że nawet publiczne demonstrowanie homoseksualnych sympatii – to dla niej za wiele.

Czy wobec tego w zbliżających się wyborach samorządowych i prezydenckich szeregi SLD-owskie nie roztopią się w obozie PO? Pewne nadzieje, że historia lewicy nazywanej – przynajmniej do niedawna – postkomunistyczną, tak szybko i łatwo się nie zakończy, wzbudza zużywanie się straszaka IV Rzeczypospolitej. Tomasz Nałęcz, który obchodził z nim studia telewizji komercyjnych, nie może już liczyć na wpływy w swojej macierzystej opcji. SLD tak naprawdę nie może liczyć na więcej niż jedną, najwyżej dwie kadencje parlamentarne. Gdy z przyczyn obiektywnych wykruszy się najwierniejszy elektorat Sojuszu, żadne promowanie jego lidera przez twórców opinii nie zapewni mu już choćby kilkudziesięcioosobowego klubu w Sejmie. SLD – nawiązując do błyskotliwego powiedzenia Leszka Millera, jednego z chętnie słuchanych mentorów Napierańskiego – oceniać się będzie po tym, jak się skończy. Jeśli przyczyni się do ograniczania monopolu PO – a potem może do jego złamania przez egzotyczną koalicję z PiS i PSL – to niech ziemia, w której niedługo spocznie, mu lekką będzie.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)